

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

Szczęście.

A czy wiesz ty, drogie dziecko,
Czem jest nasze szczęście w życiu?
Co tu nieba jest odbicie?
Co raj stwarza choć w ukryciu!

Co nam goi serca rany,
Co przedłuża młodość duszy?
Co uśmierza ból wezbrany,
Co tęsknotą serce głuszy!

Miłość wielka dla wszechświata,
Bezgraniczna — ciepła — szczerą —
Która w biednym widzi brata
I skarb serca mu otwiera.

Która kocha, co Bóg stworzył;
Gwiazdy, słońce, kwiat nad źródłem,
Taką miłość sam Bóg włożył
W serca nasze technieniem swoim.

Otóż ona tylko w życiu
Szczęście daje nam prawdziwe,
Raj nam stwarza choć w ukryciu,
Daje sercu bicie żywe.

Z. Rudnicka.



Na kresach.

Opowiadanie z zamierzchłej przeszłości.

(Ciąg dalszy.)

Każdy, choćby był najdalej, na czas żniwa do zagrody podążał, ażeby, jeżeli sam dla wieku lub kalectwa nie mógł brać w tej pracy udziału, mógł chociaż, siedząc na polu, przypatrywać się lub kierować pracą, albo też w zagrodzie przysłuchiwać się zdala dolatującej go pieśni.

Kobiety, które wiek lub niemoc przykuwała do chaty, z żalem wspominały owe lata, kiedy i one z pieśnią wraz z innymi biegły na pole.

Praca to jednak była powolna, a mozolna.

Brak narzędzi, jakimi się dzisiaj rolnik posługuje, zastępowały ręce ludzkie. Żelazo tak konieczne w rolnictwie, nie było jeszcze w ogólnem użyciu u Słowian, jako mieszkańców płaszczyn; kiedy w tym samym, to jest w początku VII wieku, inni Słowianie, mieszkający wśród gór, byli już z niem doskonale zaznajomieni. I mieszkańcy płaszczyn znali użytek tego kruszcu, lecz zaledwie gospodarz zagrody miał jakiś statek żelazny; czeladź posługiwała się kamiennymi lub drewnianymi. Wśród takiego braku narzędzi, ludzie musieli mieć ogromną siłę, ażeby podołać pracom i coraz szerzej ją rozwijać.

Brak kos i sierpów, tak niezbędnych przy żniwie, jak i w wielu innych razach, zastąpiony być musiał rękoma. Mimo więc pracowitości Słowian, żniwo nie mogło odbywać się w takim, jak dziś, prządku.

Na polu Dodkowem nie było gospodarza, co by tej pracy przewodniczył. Od śmierci Lechowej chodził wciąż po ziemiach, a Siwucha, zebrawszy czeladź, do której i ów jeniec, Ziwoń, był zaliczony, krzątała się około sprzętu. Krasa, nie zawsze mogąc dorównać pracą, pieśnią przewo-

— „Oj kłosa, wy kłosa! — śpiewała, wyrwijac zboże. — Wy drogie, a nasze, kłonicie ku ziemi główeczki; wy nasze, bo z ziemi wzięłyście urodę i każdy nam druhem a bratem. Wy druhy a bracia, życie lud cały... na ziemi — daleko...

— „Oj kłosa, wy kłosa, niech wasze ziarenka, podobne do ziarenek żółtego bursztynu, popłyną za morze, do swoich, daleko — popłyną, aż w ziemię niewoli, i tam im powiedzą, że żniwo u Słowian, oj żniwo obfite się ściele. Dla bogów objaty, dla swoich a cudzych, dla wszystkich wy dacie nam chleba, lecz wrogom, co przyjdą, nie dacie ziarenka, a zgubne podacie im ziele.“

— Ej, nie wywołuj ty pieśnią złego — przerwała jej Siwucha, — i tak już oto dosyć, że żniwo bez starego idzie.

— Macie prawdę! Jeszcze od czasu jak wrócił z niewoli, ni razu nie chybił — przywótórzył Gnilec, który przeszło od pół wieku w Dodkowej pracował chacie.

— Pieśń złego nie wywoła, bo pieśń jest jako promień jasnego słoneczka, gdy przyświeci, to ogrzeje — odrzekła Krasa, wyciągając kłosa z ziemi.

— A, co z nią! — machnęła ręką Siwucha i jęła swojej roboty, wołając znów dalej:

— Ej dziewczki, a chyżo, a kłosów nie niechać!

— Toć kłosów nie braknie na polu — ozwalała się któraś z dziewcząt i jęła je wyrwać a układać.

— Jak który zostanie, to się sam wysieje, nie trza będzie już ziarna wrzucać w ziemię i samo wpadnie — dorzuciła, śmiejąc się, inna.

— A tybyś co robiła, kieby ziarna same się zasiały? — ozwiał się Chodak.

— Ciebiebym na stracha postawiła, coby mi ptaki ziarna za wiela nie wypily — odcięła się zagadniona.

Inne śmiechem jej zawtórowały, lecz naraz powróśla, któremi miało być zboże związane, spadły na plecy pracującej, a ona, uchwyciwszy je silną dłonią, wyrwała z rąk Chodaka, a uciekając, podniosła do góry, wołając zdala:

— Oho, nie kręciłam powróśla, a ono przyszło gotowe, to i ziarno by może bez pracy wyrosło.

— Oj, te niewiasty! — rzekł Chrom — ino im do śmiechu.

— A od pracy to ptakiemby uleciały — dodał Chodak.

— Każdaby tylko głowę nadstawiła, coby jej gotowe kołaczce wleciały — ozwiał się Gnilec. — A do roboty! — dodał.

Śmiechy i żarty byłyby jednak nie łatwo ustały, bo i starsze niewiasty chętnie dorzuciły po słówku, zabierając się do odwetu za rzuconą im w oczy niechęć do pracy, ale Siwucha zgromiła:

— A do roboty! a co to, jeszcze przed końcem żniwa chcecie dożynków?

— Ej, kiedy gospodarz po za zagrodą, to i robota się wlecze — wtrącił Gnilec. — A no, jak zapracujesz, tak i będziesz jadła. Poczekasz aż ci kołacz gotowy do gęby wleci. — I to mówiąc dalej w kopy zboże układał, które w miarę, jak było potrzeba, przynoszono pod szopy, gdzie na ubitem z gliny boisku, czyli klepisku, drewnianymi młócono cepami. Krasa nie wiele zważając na wszystkie te żarty, wyrwała kłosa, śpiewając.

Naraz jednak Krasa pieśń przerwała, zaprzestała roboty i, zwracając się w drugą stronę, zaczęła mówić:

— Oho, z wiatrem, z ptakami wieść mi niesie! Dziadu idzie! idzie dziadu, na to żniwo, na to żniwo, by pożegnać swoją chatę; by pożegnać miłą Krasę. Dziadu idzie! Dodek idzie!

I zerwała pnące się ziele, okręciła niem jasną głowę, a potem, wyrwawszy garść kłosów, biegła co tchu do lasu.

— Krasa! Krasa! — wołała za nią Siwucha.

— Krasa! — ozwały się chórem głosy żeńców, którzy w Krasie widzieli jakąś różniącą się od wszystkich innych istotę. A choć była jeszcze tak młodem dziewczęciem, mimowoli mieli dla niej poszanowanie.

— Próznica — mówił, wstrząsając głową Gnilec, gdy ktoś z będących na polu chciał się za nią puścić w pogoń. — Ptaka w locie, wiatru w polu, a tej dziewczki nikt nie złapie.

— Boginki ją znać wykołysały — rzekła Siwucha.

I każdy wrócił do przerwanej roboty, bo słonko, wzbiwszy się bardzo wysoko, patrzyło jaskrawie na pracujących, grożąc, iż nie zatrzyma się nad nimi zbyt długo. Robota szła rażno, lecz pieśni zabrakło.

— Jeszcze się wśród lasu zabłąka — mówiła któraś z trwożliwszych niewiast, gdy słonko się już chyliło, a Krasa nie widać było.

— Nie zabłąka się, nie zabłąka — mówiła, wstrząsając głową, Siwucha. — Jak ją boginki uczą pieśni, tak ją tam i chować będą.

— To dziwo, ta Krasa — mówił Chrom. — Roboty się ima, jako druga, jak obcy wejdzie do zagrody, to go się nie zleknie, jak inne, a idzie jak ku swojemu...

— A niechno ino komu brak czego, a ranę zoczy, to zaraz pomoże, a ziela przykładu — wtrącił Chodak.

— Eh, ona ino spojrzy, a rana się ściągnie — wtrącił milczący dotąd Ziewoń, a oto i moje wyleczyła rany.

— A, bo to już bogi taki jej urok dały — zauważyła któraś z niewiast.

— A no i Dodek daje jej siłę. On stary, a ślepiec, a Krasa wciąż z nim się zabawia, to

tam i mądrość jego w nią przechodzi — wtórowała inna.

— A jaka to ona, ni swojemu ni cudzemu krzywdy nie da — wtrącił znowu Ziewoń.

— Ba, nawet tego rudego psa od śmierci wyprosiła — rzekła znowu niewiasta.

— Oj, to na biedę — ozwał się Gnilec.

— Co na biedę, to na biedę — rzekł Chrom, zrzucając zboże na kopę.

— Tego psa było powiesić, ot tak! — mówił Chodak, podrzucając drągiem zboże do góry. — A teraz poszedł i jeszcze więcej swoich przywiedzie.

— A niechby go! — zawołał z oburzeniem Ziewoń. — Za wasz chleb, co go jadł? Nie, nie, toć i on był razem ze mną w niewoli, on już wie co niewola! Nie, nie! a tobym!.. — i podniósł rękę w pięść zaciśniętą do góry.

— Eh, coby miał naprowadzać — rzekła któraś z dziewcząt. Niemiec to, ledwo językiem w gębę przewraca.

— Dobrze co sobie poszedł, bo z niego żadna uciecha — wtrąciła inna.

— Będzie tobie uciecha, jak przyjdzie, a powlecze cię za włosy do swoich — rzekł Gnilec. — No, to już i robota skończona — dodał, schodząc z ułożonej kopy.

I rzeczywiście, robota była skończona. Wśród pieśni a gwaru kłosa już nie falowały na polu, jeno leżały na ziemi, lub też zgarnięte razem rozsiadły się poważnie w gęsto ustawionych kopach, wskazując swą objętością, jak jedność do dobrobytu prowadzi.

— A kto nam teraz pieśń zawiedzie? — rzekł Ziewoń, czerpiąc napój ze stojącej kadzi, umyślnie na pole dla ochłody i posilku żeńców przyniesionej.

— Żadna takich pieśni jak Krasa zawodzić nie umie — dodał Chodak.

— Przyleci, a no przyleci ptaszę do gniazda — mówiła Siwucha. — A chociaż bez pieśni do chaty czas wracać. — To mówiąc, rażna jeszcze starucha zarzuciła pęk zboża na plecy i szła ku zagrodzie. Inni robotnicy, idąc za jej przykładem, wracali również ze snopkami zboża, które mieli wprędce wymłócić, by zsypać na kołacz ofiarny.

A u wrot zagrody stanął tylko co przybyły Dodek w wieńcu z kłosów, które mu Krasa zaniosła. Obok niego stał Bodar, wpatrując się w twarz starca i przyglądając Dodkowej zagrodzie.

Pieśń Krasy dźwięczała:

— „Dziadu w wieńcu bursztynowym, na bieluchnej głowie, w chacie swojej, na zagrodzie, jako to przystało. Z tego wieńca garść posypie Bogom na objatę...”

— Na żniwam nie ściągnął — rzekł, przezywając pieśń Dodek i wyciągając dłoń nad rozradowaną czeladzią. — A no, choć razem kołacz

na objatę złożymy, a kubek z moją czeladzią wychylę.

W jednej chwili snopki rzucone na ziemię otoczyły wraz z czeladzią Dodka, a ten obstawiony niemi, wyglądał jako przeszłość błogosławiąca najpierwotniejszą pracę ludu, który pracy tej składał owoce.

X.

W rogu ogromnej izby, na wielkim wydrążonym kamieniu, nasypane było zboże; na drugim zaś, przymocowanym do wydrążonego ruchomo z jednej strony, stała silna i krzepka niewiasta, a opierając się o drąg wbity w ścianę, nogą naciskała zwierzchni kamień, który spadając całą siłą na zboże, zmiażdżał je na mąkę.

Był to przyrząd zwany stępą, której używano do mielenia, a raczej tłuczenia zboża.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagon marchwi.

Czasem rzecz drobna
Człek długo pamięta;
A wdzięczność serca,
To cnota jest święta!

Działo się to we Francji w r. 1777.

Mały chłopak, ubogo odziany usiadł wśród grędy marchwi i strugał nożykiem jedną, zając ją z wielkim apetytem. Było to pod miastem Paryżem. Strażnik polowy, przechodzący drogą, ujrzał tego chłopca, zbliżył się do niego i rzekł:

— Czyż nie wiesz, maleńki, że to jest grzechem cudzą rzecz zabierać?

Chłopczyzna spojrział na strażnika przez łzy, zaczerwienił się po uszy i szepnął:

— Ja nie chcę być złodziejem, lecz bardzo głodny...

Łzy potoczyły się po miłej twarzyczce chłopaka, a żal przejął serce strażnika. Począł się go wypytywać, z kąd jest, gdzie są jego rodzice, a gdy mu chłopiec opowiedział, że jest sierotą bez ojca i matki, że musiał od złego majstra uciekać, bo się z nim źle obchodził, dał mu strażnik kawałek swego chleba, odprowadził go do rogatki miasta i wsunął w rękę pieniądz. Ale chłopczyk podziękował. Grosza nie wziął, a posłuchawszy rady strażnika, wrócił do majstra, przeprosił go i dalej pracował.

Od tej pory minęło lat 54.

Bogaty właściciel ogrodów za miastem Paryżem, sprzedawał parcele pod budowę. Miasto się rozszerzało, kamienice i pałace stawiano tam, gdzie dawniej rosły jarzyny, a między już zabudowanymi domami został kawałek ziemi wolny,

Jakiś pan chciał koniecznie tę ziemię kupić, ale właściciel Edmund Champion nie chciał jej sprzedać.

— Powiedz mi też pan — pytał go kupujący — dla czego nie chcesz sprzedać tej ziemi? Wszak ci płacę za nią dwa razy tyle, co warta.

— Dla tego — odrzekł Edmund — bo to jest dla mnie cenna pamiątka. Przed 54 laty, gdy jako opuszczony od wszystkich sierota, błąkał się za miastem i jadłem marchew z tego zagonu, spotkał mnie strażnik poczciwy, dał naukę, bym żył szlachetnie i pracował, od tej pory stałem się pilnym rzemieślnikiem. Jestem wdzięczny strażnikowi za litość mi okazaną, tej ziemi nie sprzedam też za nic w świecie.

Edmund Champion, zostawszy w parę lat po tej wędrówce za rogatką i śniadaniu z marchwi, czeladnikiem, dorobił się później takiego majątku, że nie tylko sam był otoczony dostatkiem, ale tysiące dawał na wsparcie ubogich i sierót. Wiedziane go, jak nieraz tysiąc porcy zupy na dzień sam rozdał biednym po przedmieściach, a własnym kosztem 47 szkółek założył.

Tak to czasem jedno dobre słowo może zrobić wiele. Gdyby ów strażnik był postąpił bez litości z biednym chłopczyną, a nie pomyślał nad tem, że ciemnego trzeba oświecić, kto wie, co by się było stało. A tak jego nauka i rada dobra zrobiła z biednego sieroty szlachetnego człowieka, który ludność ubogą tysiącami dobrodziejstw obyspał.



Nauka czytania i polskiego pisania.

Lekcja XVIII.

Cwiczenia w czytaniu.

(Wyrazy dwuzgłoskowe).

U-cho, wi-dły, łód ka, wę-giel, mia-sto, bi-twa, pło-mień, sia-no, ło-kieć, ka-mień, żądło, ska-ła, o-kno, pię-tro, sio-dło, zi-ma, pszezo-ła, zo-rza, ba-zar, wdo-wa, za-kon, pi-ła, mę-drzec, pię-ta, ple-cy, księ-życ, i-mię, skó-ra, sio-stra.

Niech dziecko uczy się biegle czytać tych liter z góry na dół, z dołu do góry, pojedynczych wyrazów wedle wskazania.

Równocześnie niechaj uczy się pisać, najlepiej ołówkiem w zeszytzie z liniami.



ŁAMIGŁÓWKI.

I.

Zagadka.

Bez nóg — biega, podskakuje;
Bez rąk — a szczerze pracuje;
Nie ma głowy, nie ma gęby
A wyszczerza ostre zęby.

II.

Zagadka.

A to co za pan dobrodziej?
Wciąż po cudzych łakach chodzi,
Nos do każdej wtyka dziury,
A na wszystkich patrzy z góry.



Rozwiązanie łamigłówek z nr. 18.

I.

Łamigłówka arytmetyczna.

Jaś i Franuś dzielili orzechy w ten sposób, że ile razy jeden z nich odłożył dla siebie 2, drugi równocześnie odkładał 5, to jest razem odkładali po 7 orzechów. Jeden zatem dostał tyle razy po dwa, a drugi po 5 orzechów, ile razy 7 mieści się w 224: — $224 : 7 = 32$. Jaś dostał 32 razy po 2 orzechy — $2 \times 32 = 64$, a Franuś 32 razy po 5, $34 \times 5 = 160$. ($160 + 64 = 224$).

II.

Szarada.

Czara jest, z której się pije
Przy obiedzie dobry trunek.
Mara — to drugie i trzecie,
Trapi człeka, gdy ma frasunek.
Rama — znaczy trzecie drugie,
Zdobi chaty i salony.
Z całości, gdy złączycie razem,
Czaramara będzie, idąca w zaniedbanie z czasem.

Dobre rozwiązanie łamigłówek z nr. 18 nadesłał Feliks Brzeziński z Więcków.

